

Oscar Wilde
Thomas Mann
Gerhart Hauptmann

SALOME ŚMIERĆ W WENECJI CZARNA MASKA

Libretta
na podstawie arcydzieł literatury do muzyki
Richarda Straussa, Benjamina Brittena
i Krzysztofa Pendereckiego

Przełożył i opracował
Antoni Libera

Wprowadzenie
Marcin Gmys



SALOME

Gustave Flaubert

HERODIADA

I

Forteca Macheront wznosiła się po wschodniej stronie Morza Martwego na bazaltowej skale w kształcie ściętego stożka. Rozciągały się pod nią cztery głębokie doliny: jedna na wprost jej frontu, dwie po obu jej bokach i jedna za tyłami. U podnóża forticy tłoczyły się domy mieszkalne, które otaczał mur, biegnący to w dół, to w górę, zgodnie z rzeźbą terenu. Miasto łączyła z zamkiem droga wykuta w skale, idąca zakosami. Mury samej forticy, wysokie na ponad sto łokci, załamane wielokroć i ząbkowane u góry, poprzetykane były, to tu, to tam, basztami, niby kwiatami w wieńcu utworzonym z kamieni, wiszącym nad przepaścią.

W samym środku stał pałac zdobiony kolumnadami i uwieńczony tarasem z drewnianą balustradą, rzezaną z sykomory i przetykaną masztami do rozciągania *velarium**.

Pewnego dnia, przed świtem, tetrarcha Herod Antypas, stanąwszy przed balustradą, wsparł na niej łokcie i patrzył.

Grzbiety pagórków tuż pod nim zaczęły się już wyłaniać, ale masywy skalne, jak i głębie przepaści, tonęły jeszcze

* *Velarium* (łac.) – w starożytnym Rzymie płócienna osłona rozpinana nad widownią dla ochrony przed słońcem lub deszczem.

w mroku. Unosząca się mgła rozstąpiła się nagle i ukazały się zaraz kontury Morza Martwego. Jutrzenka wstająca za twierdzą zaróżowiła niebo. I rozświetliła wkrótce wzgórze, piaski wybrzeża, pustynię i, nieco dalej, łańcuchy gór Judei, chylących swoje szare i chropowate płaszczyzny. Pośrodku potężnym cieniem kładł się masyw Engedi. W dali, niczym kopuła, piętrzyły się mury Hebronu. Na zboczach Eskuolu rosły drzewa granatu, na zboczach Sorku winnice, a Karmel pokrywały rozległe pola sezamu. Jerozolimę znaczyła górująca nad miastem wieża zwana Antonią z jej kolosalnym sześcianem.

Tetrarcha odwrócił wzrok w prawo, by spojrzeć na palmy Jerycha. A myślą objął inne miasta swej Galilei – Kafarnaum i Endor, Nazaret i Tyberiadę, do której pewnie już nigdy nie będzie mógł powrócić.

Tymczasem przez równinę, pustynną i całkiem białą, oślepiającą jak śnieg, toczył swe wody Jordan. Jezioro wyglądało jak tafla lazurytu. Daleko na południu, na wybrzeżach Jemenu, gdzie wody wcinały się w ląd, Antypas dostrzegł coś, czego bał się zobaczyć: rozpięte brunatne namioty; sylwetki ludzi z dzidami, którzy tam i z powrotem chodzili wokół koni, i gasnące ogniska pobłyskujące jak iskry w promieniach rannego słońca.

Były to zgrupowane wojska króla Arabów, którego tetrarcha uraził, rzucając jego córkę, by związać się z Herodiadą, żoną swojego brata, mieszkającego w Italii, bez pretensji do tronu.

Antypas oczekiwał jakiegoś wsparcia z Rzymu. Ponieważ jednak Witeliusz, legat Syrii, nie bardzo kwapił się przyjść z pomocą, trawił go żrący niepokój.

Czyżby Agrypa rył pod nim w otoczeniu Cezara? Filip, najmłodszy z trzech braci, rządzący Bataneją, potajemnie się zbroił. Żydzi burzyli się na pogaństwo Heroda, inni na jego rządy. Dlatego też wahał się, jaką obrać strategię: uło-

żyć się z Arabami czy zawrzeć przymierze z Partami? – Korzystając z okazji, jaką było uczczenie rocznicy jego urodzin, postanowił w ten dzień wydać wystawną ucztę i sprosić na nią całą starszyznę Galilei: dowódców wojsk, notabli i zarządców majątku.

Przebiegł wzrokiem po drogach. Były opustoszałe. W górze krążyły orły. Żołnierze ze straży na wałach spali wsparci o mur. Z zamku nie dobiegały żadne odgłosy życia.

Nagle, jakby spod ziemi, doszedł go jakiś daleki, niesamowity głos. Tetrarcha zamarł, pobladł, po czym pochylił się i zaczął nasłuchiwać. Głos ucichł, lecz znów się ozwał. Wtedy Herod zaklaskał i krzyknął:

– Mannaei!

Mężczyzna, który się zjawił, był obnażony do pasa jak posługacz w łaźni. Niemłody już, wychudzony, lecz o potężnej posturze, nosił nóż w pochwie z brązu. Jego wysokie czoło uwydatniały włosy zaczesane do góry. Oczy z powodu senności zgubiły swoją barwę, lecz zęby mu błyszcząły. Szedł lekko, zwinnie jak małpa, a twarz miał nieprzeniknioną.

– Gdzie on jest? – spytał tetrarcha.

– Tam gdzie był. – Mannaei wskazał kciukiem za siebie.

– Jak gdybym słyszał go.

Antypas odetchnął głęboko i spytał o Johanaana, którego Latynowie zwali Janem Chrzcicielem. Czy śledzono tych dwóch, dopuszczonych łaskawie do więzienia w ostatnim czasie? I czy wiadomo, co później działo się z tymi ludźmi?

– Rozmawiali z nim krótko – powiedział Mannaei – i zagadkowym językiem. Jak złodzieje o zmroku na skrzyżowaniu dróg. A potem się udali do Górnej Galilei, przekonani, że niosą jakąś wielką nowinę.

Antypas opuścił głowę, po czym rzekł histerycznie:

– Pilnuj go! Pilnuj, pilnuj! Nikogo już tam nie wpuszczaj! Zamknij drzwi, zasłoń dół! Nikt nie powinien myśleć, że w ogóle jeszcze żyje.

Mannaei nie musiał dostawać tych rozkazów, by wykonywać to wszystko. Jak każdy Samarytanin czuł nienawiść do Żydów, a Johanaan był Żydem.

Świątynia Samarytańska na górze Garizim, centralny punkt Izraela wedle wskazań Mojżesza, nie istniała od czasu, gdy zburzył ją król Hirkan; przez co Jerozolimska była dla Samarytan obraźliwym wyzwaniem, jątrzącym poczucie krzywdy. Pewnego dnia Mannaei wkradł się tam z kośćmi zmarłych, aby zbeczczyć ołtarz. Jego mniej szybkonożnych, słabszych współników ścieto.

Świątynia jawiła się stąd w rozwidleniu dwóch wzgórz. W słońcu jej ściany z marmuru oślepiały białością a dach lśnił złotym blaskiem. Była jak góra światła, jak coś ponadludzkiego, przytłaczająca wszystko swym przepychem i dumą.

Widząc to, Mannaei wznosił ramię w stronę Syjonu. Wyprostowany, z głową nieco w tył odchyłoną i zaciskając pięści, rzucił świątyni przekleństwo, z wiarą w sprawczą moc słów.

Antypas nie wyglądał na zgorzonego tym aktem.

– Czasami miota się jeszcze – Samarytanin wrócił do przerwane go wątku – chce uciec, liczy, że wyjdzie. Czasami leży bez ruchu jak zdychające zwierzę. Albo chodzi w ciemności i powtarza: „To nic. Ja muszę zmaleć, by urósł”.

Antypas i Mannaei popatrzyli na siebie. Tetrarcha miał już jednak dosyć tego tematu.

Niepokoili go góry wyrastające wokół niby potężne fale, które zastygły w bezruchu; czarne leje wśród urwisk; bezkresne błękitne niebo, rażące światło dnia, niezgłębione przepaści. A krajobraz pustylny, podobny w swym charakterze do ruin amfiteatrów, pałaców tonących w piachu, przyprawiał go o rozpacz. Upalny wiatr, wionąc siarką, zdawał się nieść wyziewy z przeklętych miast leżących od daw-

na poniżej brzegu, gdzieś pod ciężkimi wodami. Te różnorodne znaki nieśmiertelnego gniewu wzbudzały w tetrarsze grozę. Stał więc tak wsparty łokciami o poręcz balustrady, ściskając dłońmi skronie, i patrzył w jeden punkt. Wtem poczuł czyjeś dotknięcie. Obrócił się za siebie. Była to Herodiada.

Miała na sobie suknię w kolorze lekkiej purpury, długą aż po sandały. Nie nałożyła jednak, wychodząc z komnaty w pośpiechu, kolczyków i naszyjnika. Sploty jej ciemnych włosów spływały po szyi na pierś. Lekko rozwarpte nozdrza pulsowały tryumfem; twarz jaśniała radością.

– Cezar miłuje nas! – rzekła donośnym głosem, wstrząsając nim tetrarchę. – Agrypa jest w więzieniu!

– Skąd wiesz?

– Wiem. – I dodała: – Popierał Kaligulę, jego widział na tronie.

Agrypa, żyjąc tam bez reszty na ich koszt, Heroda i Herodiady, zabiegał o tytuł królewski, do którego i oni rościli sobie prawo. Ale nie ma już obaw!

– Więzienia Tyberiusza nie otwierają się łatwo i wcale nie łatwo w nich przeżyć!

Antypas pojął te słowa. Lecz chociaż Herodiada była siostrą Agrypy, uznał okrutny podtekst za usprawiedliwiony. Tego rodzaju morderstwa w rodzinach panujących były czymś nieuchronnym, a przeto naturalnym. W domu Heroda od dawna przestano liczyć zbrodnie.

Następnie opowiedziała o swoich posunięciach: jak przekupiła klientów, jak otwierała listy i jak u wszystkich drzwi porozstawiała szpiegów. I jak dopięła tego, że niezłomny Eutyches stał się denuncjatorem:

– Cena nie grała roli! Czyż nie robiłam dla ciebie o wiele większych rzeczy?... W końcu rzuciłam córkę!

Rozwiódłszy się z pierwszym mężem i licząc, że tetrarcha obdarzy ją nowym potomstwem, Herodiada swą córkę